

Imiona  
zapisane  
na wodzie...



Imiona  
zapisane  
na wodzie...



Imiona  
zapisane  
na wodzie...



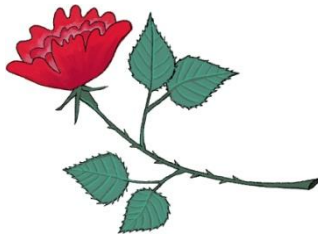
# "Imiona zapisane na wodzie..."

Publikacja wydana z okazji 74. rocznicy wyzwolenia FKL Ravensbrück

Wybór tekstów oraz ilustracje

Joanna Czopowicz

Warszawa 2019



Opracowanie graficzne  
Planetar Studio Projektowe

# Spis treści

<i>O zachodzie</i> .....	6
"Na apelu" .....	8
<i>Powitanie</i> .....	11
"Łaczki i jaka" .....	12
"Na przekór beznadziejności..." .....	18
<i>Stacja Ravensbrück</i> .....	22
"Kunstgewerbe" .....	24
"Wspomnienia z bunkra" .....	26
<i>Na trzy</i> .....	31
"Galery" .....	32
"Króliki doświadczalne" .....	35
<i>Taczki</i> .....	39
"Nocna zmiana w kuchni obozowej" .....	40
"Aby świat się dowiedział..." .....	42
"Kwiaty" .....	45
<i>Wiersz na uroczystość 25-lecia wyzwolenia obozu Ravensbrück</i> .....	49
Pamięć ocalona .....	50

## O zachodzie

Dano mi zajrzeć wreszcie  
W ich śmierci krainę.  
Oglądam dni sine  
W syren jęku  
I skrzydeł złowrogim szeleście.  
Dni tu mają twarze  
Ludzi zmęczonych.  
A przed końcem  
Z matni chmur skłębionych  
Przebija się ich słońce  
Krwawe od żarzeń  
Ostatnich.  
Piękne tu zdają się mym oczom  
Zachody.  
Chmury płynące suną  
Nad ziemią.  
Leżącą spodem.  
Płoną luną.  
Aż się roztoczą  
Czerwinią  
I niebo całe mienią  
W krwawe pole  
Czarne drzewa w dole  
Wznoszą ręce jak grabarze,  
Czekający na zwłoki,  
A obłoki ciemnieją,  
Sinieją,  
Jak umarłych twarze...

-----

Widziałaś dziś ten zachód?  
Już umiera  
Teraz  
Znad naszego dachu  
Ptaki się wzbily ku obłokom,  
Wysoko,  
Przez czerwień konającą  
Przebojem.  
Wiesz? Myśli twoje i moje:  
Już nam ich nie strąca.

Maria Rutkowska  
Neubrandenburg, lato 1944





## Na apelu

Godzina 5. Na długiej i szerokiej ulicy Obozowej stoją koło siebie wszystkie bloki na stałych miejscach. Ustawiają się dziesięcioma rzędami: równo, w odstępach, frontem ku środkowi ulicy. Jedne bloki po prawej, inne po lewej. Środek ulicy pozostaje wolny. Z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała, jak okiem sięgnąć, stoją znieruchomiałe szeregi kobiet.

Ileż ich jest? W sierpniu 1944 r. liczba wahała się około 20 tysięcy, w najbliższych miesiącach przekraczając 30 tys.

Apel odbierają auzjerki, umundurowane funkcjonariuszki obozowe. Obliczają każdy blok oddzielnie, a wyniki meldują w biurze. Jeśli, zachowaj Boże, choć na jednym bloku liczba nie zgadza się bodaj o jedną więźniarkę, wszystkie bloki muszą stać tak długo, póki brakująca nie znajdzie się.

Deszcz czy śnieg nie stanowią przeszkody, a za jedyną zasłonę służy wówczas papier od paczki żywnościowej założony na głowę lub ramiona, pod wielkim strachem, że zobaczy auzjerka.

Pamiętam jeden lipcowy ranek. Padał rzęsisty, ulewny deszcz. Chustkami od nosa wycierałyśmy ociekające wodą włosy, suknie na ramionach przemokły do ciała, a po skórze posuwały się w dół kropelki

zimnej wody. Wtem odbierająca apel auzjerka dostrzegła gdzieś w dalszych szeregach papier osłaniający czyjąś głowę. Jak pantera rzuciła się w szeregi, a za chwilę rozległ się trzask wymierzanego policzka...

Kto zmoknie na apelu wysycha przy pracy, a gdy wieczorem wraca na blok ubranie jest już prawie suche.

Na szczęście deszcze są tu krótkie, choć ulewne i częściej przypadają na drugą połowę dnia, na apelu więc moknie się rzadko.

Za to marznie się zawsze, nawet w lipcu, mimo wełnianych swetrów wkładanych sprytnie pod sukienkę.

Krzyki, kopanie, bicie po głowie i po twarzy to normalne objawy niezadowolenia władz obozowych, na które reagować można jedynie bolesnym skurczem serca i falą nienawiści zalewającą mózg.

Upragniony zew syreny przerywa tę codzienną mękę i wyzwala z tysięcy piersi głośny okrzyk ulgi.

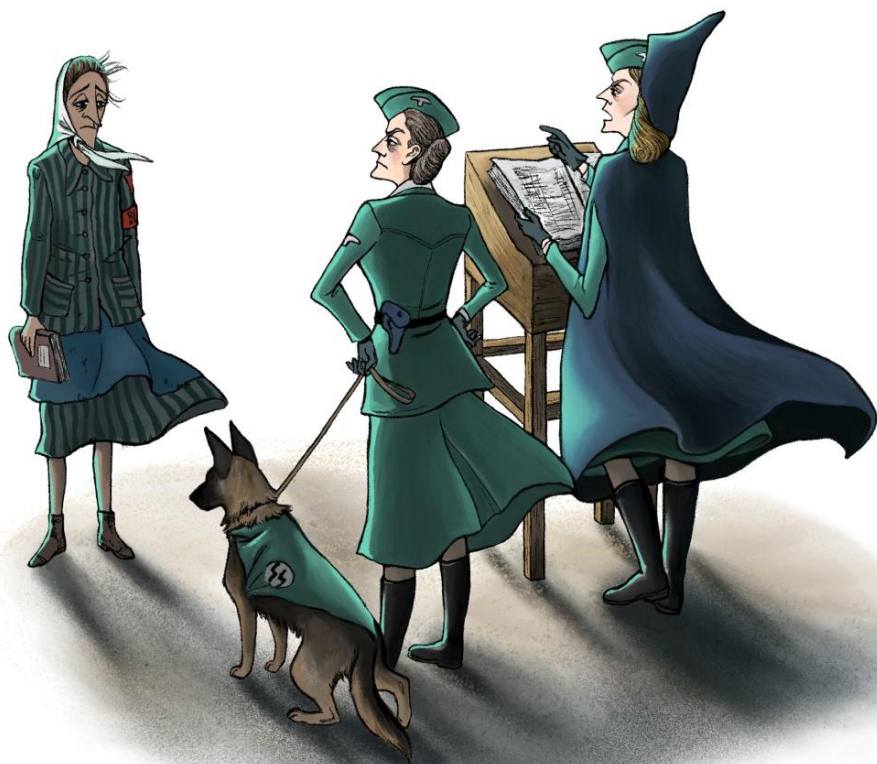
Równe, nieruchome dotąd szeregi pękają i mrowie ludzkie kłębi się wzdłuż całej ulicy.

Następuje natychmiastowe przegrupowanie się według kolumn pracy, tragiczne chwile, gdy trzeba przebijać się, przepychać przez zdziczałe w niewoli tłumy z obawą, by nie upaść i nie zostać stratowaną. Tu nie ma miłosierdzia, ani litości dla słabszych i starych. Drogę toruje tylko silna pięść i ostry język. Po kilkunastu minutach kolumny pracy stoją już na swoich miejscach. Osobno bardzo długim szeregiem stoją na środku ulicy "ferfugi". Nie mają one stałej pracy, lecz co dzień jak na targu dla niewolników wybiera się z pośród nich potrzebną ilość do piasku, do żwiru, do robót niwelacyjnych, do poprawiania dróg, do zwożenia ziemniaków, do zamiatania, wywożenia śmieci, rozładowywania wagonów.

Osobno stoi "nocka" - te, które przed apelem zeszły z nocnej zmiany w warsztatach, a teraz pójdą spać.

Po przeliczeniu każdej kolumny przez własną "kolonkę" czyli kierowniczkę, kolumny ruszają do pracy.

Zanim ostatnia kolumna schodzi z miejsca apelu jest już godzina 7. Ulica Obozowa pustoszeje. Na posterunkach zostają jedynie policjantki. Poranna tortura zostaje zakończona.



## Powitanie

W bezbrzeżną pustkę duszy,  
W nędzę bez posiadania,  
Padł pierwszy dar wspaniały:  
Wasz uśmiech powitania.

I ciepłem swym rozkruszył  
Lód, co nam serca spętał –  
Świat odmieniłeś cały  
Ty – taka uśmiechnięta.

I wasze blade twarze  
Wydały nam się święte,  
Tak uśmiech wasz był wzniosły  
I jak cud, niepojęty.

Pojęłam prawdę wszakże,  
Z ócz wam czytając słowa,  
Żeście nad ból swój wzrosły  
Bo w was się Polska chowa.

Uśmiechem swym zbudziłaś  
Wszystko drzemiące we mnie,  
I odnalazłam siebie  
W godzinie beznadziejnej.

A żeś to uczyniła  
Łzom bliska i rozpaczy,  
Wierzę, Bóg Ci w potrzebie,  
Za uśmiech ten odpłaci.

Maria Rutkowska  
Ravensbrück, czerwiec 1942

## Laczki i jaka

Chłód przesładował nas jak zły pies poprzez wszystkie pory roku. W tym zatraconym klimacie północnych przymorskich Niemiec nie było ani gorącego lata, ani surowej śnieżnej zimy, tylko nieustanny ziąb, wieczysta wilgoć, przenikliwe mgły, deszcze i mokre śniegi. Wiosna dżdżysta i pochmurna przychodziła późno i leniwie. Ostre przymrozki ciągnęły się przez cały prawie czerwiec, a my na rannym apelu stałyśmy nawet w czerwcu o świcie, jeszcze w maju wyprzedzałyśmy słońce. Ziemia srebrzyła się od szronu, a myśmy szły bosy, bo w pierwszych latach z nastaniem wiosny aż do późnej jesieni odbierano nam gwoli oszczędności pończochy i drewniaki. Przytupywałyśmy sinymi, owrzodzonymi od zastarzałych odmrożeń nogami i marzyłyśmy o tym, jakby to słodko było ustawić w ten sam sposób na parę godzin dyrektora i "frau oberaufseherin". Nie wolno wziąć "laczków" za pazuchę, miękkich pantofli z pasiastego jak suknia materiału i wdziać je na czas stania! "Laczki by się zniszczyły na ostrym żwirze, przeznaczone są tylko na użytek wewnątrz bloku. A zresztą to by popsuło surową przestrzeganą jednostajność wyglądu wszystkich "häftlingów". Wszystkie muszą stać latem bosy na apelu: taki jest przepis. Nie wolno nawet podłożyć papieru pod zdrętwiałe z zimna stopy! To by uwłaczało powadze apelowego obrządku.

Gdyśmy w końcu ruszały z miejsca - na zamrzniętej ziemi odcinały się ciemnymi plamami ślady stóp, niezliczonych stóp, parami, z

piętami zwróconymi ku sobie, w pozycji na baczność. Ziemia odtajała z lekka pod ciepłem żywego ciała, a zamróz wszedł w nasze biedne nogi i odrętwił je tak dalece, że gdyśmy potem biegły do bloku, miałyśmy dziwne wrażenie, że biegniemy na szrudłach drewnianych. Nie czułyśmy ani kamyków, ani ostrego żwiru i dopiero strumień zimnej wody spod kranu przywracał nogom czucie.

Zimą jako jedyna osłona przed mrozem należała się nam "jaka", krótki żakiet pasiasty jak suknia, z cienką podszewką do połowy, literalnie wiatrem podszyty, z kieszeniami, do których rąk wkładać nie było wolno pod karą bunkra. "Jakę" nosiłyśmy zasadniczo od października do maja, ale gdy złudna pierwsza wiosna udawała, że nadchodzi już w marcu, władze korzystały z tego, by nam "jaki" co prędzej odebrać i zaoszczędzić je na rok przyszły dla przyszłych pokoleń "häftlingów". W połowie kwietnia zabierano nam także ciepłe pasiaki i dawano letnie suknie z szaro-niebieskiego płótna, suknie o krótkich rękawach, i zabierano chustki z głów. W końcu kwietnia, w maju deszcz ze śniegiem hulał, jak chciał, wiatr targał nasze przykrótkie kiecki; dygotałyśmy na zimnym deszczu, mrużyłyśmy oczy przed krupami śnieżnymi, a woda z przemoczonych włosów ściekała nam po nosach. A ileż to razy przyszło bosa stopy zanurzyć w zimnej kałuży, by nie zepsuć przepisowego porządku wyciągniętych pod sznur piątek i stać tak długo, jak tam apelowi wypadło!

Właściwie latem, z wyjątkiem bardzo krótkiego okresu upałów, marzyłyśmy bardziej niż zimą. Zimą miałyśmy pończochy i swetry, które nam z "effektów" wydawano, miałyśmy także rękawice. Pod "jakę" udawało się nieraz namotać szmat i łachmanów, okręcić się wykradzionym z jakiegoś warsztatu grubym papierem. Latem swetry własne, najwłaśniejsze, oddawało się przymusowo z powrotem do "effektów" i nigdy się nie wiedziało, czy w ciągu tego właśnie lata nie

zostaną skonfiskowane na przyszłoroczną pomoc zimową. I wiecznie jak zbawienia czekało się ciepła i słońca.

Marzyliśmy o tym, by wygrzać się na zapas, by wchłonąć trochę słońca... A gdy przychodziły już wreszcie te upały i wielogodzinne apele w gorącu, znużenie okropne, duszności, udary słoneczne, ataki serca, wówczas żalowałyśmy nieomal zimy i tylekroć przeklinanego zimna! Przyroda nigdy nie była dla nas łaskawa. Nieliczne tylko dni dawały wypoczynek, a nie przynosiły ze sobą żadnych dolegliwości.

Za obuwie służyły nam zimą i latem ciężkie drewniaki bez pięty, z płóciennym noskiem, trzymającym jedynie palce. Trzeba było wprawy nie lada, by móc się poruszać swobodnie w tym narodowym niemieckim obuwiu, chociaż niektóre wirtuozki potrafiły w nim nawet biegać. Ale zwykłe śmiertelniczki potykały się rozpaczliwie co krok, wywracały się na apelach, gubiły nieszczęsne drewniaki przed samym stolikiem na roboczej defiladzie, zbierały srogie wymysły i szturchańce, aż wreszcie, przyciśnięte potrzebą, wynalazły skomplikowany system sznurków, tasiemek i gumek, którymi przytwierdzały owo narzędzie tortur do nogi i tak mogły się już posuwać bez przeszkód. Zimą śnieg lepił się nielitościwie do drewnianych podeszew. Skromne "häftlingi" znienacka dla siebie samych stawały na koturnach i czepiały się rozpaczliwie sąsiadek, by dobrać do miejsca pracy.

(...)

O tym, żeby się ubrać, ustroić, nie myślał w Ravensbrück nikt. Przynajmniej w pierwszym okresie. Groteskowy wygląd i koleżeński, i własny nie sprawiał nikomu przykrości. Zżyliśmy się z myślą, że tak już musi być. Wszakże te nawet, które na wolności były bardzo ładne, wyglądały teraz jak smętne koczokodany. Porobiono z nas istoty bezpłciowe, mrówki-robotnice. Regulaminowym uczesaniem, więziennym mundurem oszpecono nas świadomie i rozmyślnie,





zupełnie programowo, byśmy doszczętnie zatraciły poczucie własnej kobiecości. A może chodziło i o to, by który "häftling" nie oczarował jakiego ss-mana, nie uwiódł go i z jego pomocą nie wydostał się na swobodę, za bramę! Rzecz to ludzka, że pokraki mniej budzą zazwyczaj współczucia.

Ale gdy zostały dopuszczone paczki odzieżowe, kiedy rodziny przysłały z domu, wraz z bielizną i pończochami, cały szereg drobiazgów przydatnych do stroju, na nowo zaczęła kiełkować przywalona, przyduszona kobieca żądza przystrojenia się.

(...)

Gdy zwolna różne braki zakradać się jęły do gospodarki niemieckiej, zabrakło i granatowego materiału na nasze mundurowe fartuchy. Wówczas szwalnie dostały rozkaz szycia fartuchów z kolorowych, wzorzystych sukien letnich, zwożonych masami wraz z całym możliwym zdobyczym dobrem ze wszystkich końców świata. Za takimi barwnymi fartuchami uganiały się elegantki "lagrowe". A gdy zabrakło i pasiastych sztuk tkaniny z pokrzywy, w jaką "lagier" ubierał swoje pupilki, gdy skłopotane władze zaczęły rozdawać suknie cywilne, rozpoczął się wyścig elegancji. Białe krzyże, malowane na plecach farbą olejną, nie dodawały tym sukniom uroku. Białe krzyże miały znaczyć więźniarki, uniemożliwiając ewentualną ucieczkę, w cywilnej sukni bądź co bądź łatwiejszą. Zeszepecone białymi krzyżami suknie wyglądały groteskowo, nie przeszkadzało to wszakże roznamiętnieniu, z jakim "häftlingi" dobierały sobie fasony i kolory. I zaraz potem rozpoczęła się wymiana, zakwitł handel konfekcji damskiej. Jeśli paczki odzieżowe utrudniły znacznie przestrzeganie tego, co wolno jest nosić "häftlingowie", to suknie cywilne, suknie zakrzyżowane, ostatecznie utorowały drogę wszelkiemu "organizowaniu" obozowych strojów.

Władze "lagrowe" straciły wszelką możliwość kontroli. "Häftlingi" ravenbrückie przybrały wygląd odmienny, do pierwotnego

zgoła niepodobny. Barwne chusteczki na głowę, kolorowe szaliki na szyję, wstążki i koronki zagadkowego pochodzenia, to wszystko składało się na zabawną nieraz, czasem żalostną figurę, która chciała za wszelką cenę stać się do ludzi podobna, a bardzo rzadko osiągała choćby w przybliżeniu ludzki wygląd. Zawsze jakaś część garderoby zgrzytliwym dysonansem świadczyła o daremnych wysiłkach, tak bardzo nieharmonizujących z atmosferą "lagrową". A jednak pod koniec wojny, gdy ze zburzonej Warszawy właśnie do Ravensbrück zwozili Niemcy wagonami wszystko, co im wpadło w pazury, niektóre przemysłne kobiety potrafiły sobie skompletować całe wyprawy. Uginały się potem pod ciężarem tobołów w czasie pieszej ewakuacji i zasiewały niemieckie drogi swoją zdobyczą. Piesza ewakuacja złamała bowiem na chwilę nawet nieugaszoną żądzę posiadania, panującą przez cały czas niepodzielnie nad kobietami z Ravensbrück.



## Na przekór beznadziejności...

Gdy życie chłoscze bezlitośnie, gdy tkwi się na dnie rozpaczy, wystarczy czasem drobna iskierka odmienności, by ucześcić się jej z całych sił i chcieć żyć.

Tak było w Ravensbrück w bloku 27, w listopadzie 1944 r. Przeżywszy do końca powstania, potem Pruszków, niekończącą się jazdę bydłęcymi wagonami, a potem do Ravensbrück, zostałyśmy umieszczone we wspomnianym wyżej bloku. Zaszokowane parodniowym poprzednio pobylem w celcie, okropną łaźnią, goleniem głów, groteskowo przydzieloną odzieżą, której elementy nie odpowiadały wymiarom sylwetek, siedziałyśmy jak wystraszone myszy pod miotłą, na swoich ciasnych, okropnych kojach. Samopoczucie pogarszały wlokące się godzinami apele, na których jeszcze w listopadzie stałyśmy w letniej odzieży, poowijane pod spodem papierami oraz ciężka praca poza obozem. To też gdy na naszym bloku wybuchł tyfus i zarządzono kwarantannę, byłyśmy prawie szczęśliwe, że nie musimy nigdzie wychodzić. Na razie! Bo potem cierpiełyśmy potworny głód i patrzyłyśmy, jak odchodziły na zawsze co słabsze i ciężiej chore kobiety. Gnuśniałyśmy i dręczyła nas apatia.

Któregoś dnia, przechodząc stronę A (ja mieszkałam na stronie B bloku 27), usłyszałam śliczny śpiew na dwa głosy. Wytropiłam siedzącą na trzeciaku siostry Halinę i Irenę Sobierajskie. A ponieważ śpiewanie i muzykowanie zaszczone w domu rodzinnym zawsze było

moją pasją, szybko nawiązałam kontakt z koleżankami i zaczęłyśmy snuć plany, na razie tylko wspólnych popisów wokalnych, ot dla siebie, dla wypełnienia dnia. Namówiłam również do udziału Jankę Bernadzką, którą znałam z Żoliborza. Występowała w programach artystycznych w czasie powstania. Spędzałyśmy codziennie wiele godzin zestawiając głosy, przypominając sobie piosenki, potem i wiersze, skecze, w których mistrzynią była Janka, studentka tajnej wyższej szkoły aktorskiej w Warszawie. Bawiłyśmy się tak na trzeciaku u Sobierajskich uważając, by nas nie wysłiedzono i nie ukarano. Ale śpiew, nawet bardzo cichy nie mógł być nie zauważony, tak jak nie może ująć uwadze wychodzący zza chmur promień słońca, który tym jaśniej świeci, im ciemniejsze niebo dookoła...

Zbierały się więc na sąsiednich pryczach miłośniczki naszych muzycznych tokowań. I tak się zaczęło... Zauważyłyśmy, że jesteśmy potrzebne, że więźniarki słuchające nas zapominały o niedoli obozowej. Zaryzykowałyśmy oficjalne występy. Zbliżała się Gwiazdka. Święta, które od dzieciństwa oplecione są ciepłymi wspomnieniami rodzinnego domu, błyszczącej choinki, wspólnej wieszki przy biało nakrytym stole, dzielenia się opłatkiem. Wiedziałyśmy, że właśnie w te święta będzie nam wszystkim najciężej. Postanowiłyśmy rozproszyć nastrój smutku i beznadziejności. Na wieczór 24 grudnia i przedpołudnie 25 grudnia przygotowałyśmy recital kolęd na cztery głosy. Na popołudnie 25 grudnia i wieczór 26 grudnia repertuar rozrywkowy. Strona B bloku 27, bardziej oddalona od lagrowej ulicy była korzystniejsza dla popisów. Część prycz od strony okien nie miała trzeciego piętra. Swobodnie więc można było zaaranżować scenę i widownię.

Mam przed sobą notes sporządzony ze zdobytych ukradkiem kartek, wszytych nitką między dwie tekturki z kartonu od paczki adresowanej ręką mojej Mamy. Są w tym notesie programy naszych rewii oraz teksty wierszy i piosenek, niektóre parafrazowane.



## Ballada o obozie w R...

Na terenie Ravensbrücku, gdzie baraków jest od liku  
Żyją ludzie ciemżeni, ogłupiali, wymęczeni.  
Pracujący jakoś żyją, na zulagach nawet tyją  
Lecz ferfugom los okrutny, przygotował żywot smutny.  
Ledwie księżyc wstał zdziwiony, już przed bloki z każdej strony,  
Suną cienie na pół śpiące, sabotami klekoczące.  
Prędko w piątki, naprzód! Szybko!  
Wrzeszczy władza chociaż z chrypką.  
Do cholery! Gdzie ta staje!  
Słyszysz! Masz wyrównać raje!  
Potem stoją godzinami, poszczękując zębiskami  
Przed kuchennym wonnym blokiem, by cokolwiek ukraść bokiem.  
By do życia nabrać siły, nasze władze przeznaczyły  
Kartofelki, brukiew także, na obiadek w KZ-lagrze.  
W poobiedniej drzemce błogiej, tuląc w pół sąsiadki nogi  
O wolności marzym szczerze i... o zupie na wieczerzę.  
A gdy się kładziemy na noc, usłyszymy na dobranoc,  
Że za jakąś małą winę, apel... wcześniej o godzinę.  
W tej bajeczce też się zmieści, że się każdy z wszami pieści.  
Rzeczy bada z każdej strony, gdy ich nie ma jest zdziwiony.  
Ach, lecz po co o tym śpiewać, lepiej w koi sięść i ziewać.  
Bo ravenbrückie porządki, znane będą lat dziesiątki.

Nadchodził Sylwester i Nowy Rok. Znow przygotowałyśmy nowy repertuar. Tym razem przemyciły się do nas inne blokowe i sztubowe. Rozeszła się fama o naszych umiejętnościach. Dostałyśmy w prezencie "zorganizowane" czarne sukienki, ozdobiłyśmy je emblematami Karo z numerem 27 i... zaczęły się potajemne występy.

A więc przede wszystkim w bloku "Króliczek", a potem i w innych, głównie tam, gdzie były tylko Polki i gdzie można było zagwarantować dyskrecję i bezpieczeństwo.

Nasza artystyczna działalność trwała do końca stycznia. Ostatnią notatką z układem programu mam z 28 stycznia 1945 roku. Potem zaczął się ciężki okres terroru, wywożenia do podobozów, polowania na "Króliczki", wreszcie rozłaka naszego Kwartetu Karo 27.

Wszystkie żyjemy, wszystkie pamiętamy naszą samoobronę przez okrutną rzeczywistością oraz i to, że nasz śpiew i wskrzeszona wesołość wywoływała na twarzach więźniarek wiele uśmiechów, często niestety ostatnich...





# Murawa

Dziewczętom.

Murawa ma już w marcu fijołkowe oczy  
I pachnie, o jak pachnie tajoną miłością...  
Nic nie mówcie, niech w słońcu czar sam się roztoczy  
I niech ciała napoi straconą młodością.

Nie chcę widzieć, że macie twarzyczki jak z wosku  
I oczy podkrążone, zapadłe i ciemne  
I że dotąd nie znacie, czym jest pierwsza rozkosz  
I że może pogasły sny wasze tajemne.

Niech Was boli tęsknota, jak ból czują kwiaty  
Gdy je miłość rwie z ziemi dla siebie w zachwycie,  
Niech wam usta zapłoną krwi mocnej szkarłatem -  
Tam, w zielonych murawach kwitnie wasze życie.

Maria Rutkowska  
Ravensbrück - wiosna 1943

## Kunstgewerbe

Tak nazywała się pracownia, czyli "betryb", mówiąc żargonem obozowym, w której robiono słomiane buciki. Trzeba przyznać, że buciki były ładne, jak na materiał, z którego były robione. Pracowało nas tam kilkadziesiąt, przeważnie Polki, z pewnym procentem Czeszek i paroma Niemkami.

Na przestrzeni długich lat pobytu w obozie, okres pracy w Kunstgewerbe należał do najłżejszych i, jeśli w ogóle można użyć tego wyrażenia w stosunku do obozu i życia w nim - do najprzyjemniejszych.

Zawdzięczałyśmy wiele naszej kolonce, pani Siasi Schönemannowej, która łącząc w sobie spryt i mądrość życiową z dobrocią serce i miłością bliźniego, umiała naszych dręczycieli odpowiednio "wykołować" przez odpowiednie postępowanie, stwarzając nam przez to możliwsze warunki. Parę razy doszło do awantury i pani Siasia oberwała kilka policzków od rozwścieczonych SS-manów, stając w obronie swych współtowarzyszek.

Ale SS-mani lubili ładne butki ze słomy, z których robili upominki swym najdroższym. Dla kancelarii Himmlera robiłyśmy w okresie Świąt Bożego Narodzenia po 100 par, to też nasz "betryb", pomimo, że nie produkował nic dla armii, co było głównym zadaniem więźniów w obozie koncentracyjnym, temu zawdzięczał swoje istnienie. Nie wysuwano nas bardzo komisjom SS zwiedzającym obóz. Jedynie

najwyższe władze wiedziały o naszym istnieniu i po cichu tolerowano istnienie tej pracowni do końca 1943 roku.

Dzięki temu korzystałyśmy z pewnej swobody. Pracownia nasza była położona nieco z boku, na końcu obozu. Poza kilkoma SS-manami i jedną aufzejerką nie wolno było do nas przychodzić nikomu ze straży obozowej. Wyzyskiwałyśmy to po swojemu. Gdy tylko rozstawione czujki dawały znać, że stróże się oddalili, zaczynało się inne życie. Było wśród nas dużo zdolnych i nieprzeciętnych jednostek. Były artystki malarki, jak Maja Berezowska, Myszka Hiszpańska, Jadzia Simon, artystka dramatyczna Jadzia Szałań, były i śpiewaczki. Gdy przyszła chwila swobodniejsza, opowiadałyśmy na głos dawno przeczytane książki, nasze artystki śpiewały przyciszonymi głosami, deklamowały wiersze, a raz nawet wielki ewenement wydarzył się wśród Polek - na teren obozu dostał się egzemplarz "Pana Tadeusza" przysyłany po parę kartek w paczkach żywnościowych.

Było prawdziwym świętem, gdy pewnego razu SS-mani gdzieś się wynieśli, a aufzejerka, przekupiona jakąś parą bucików lub rysunkiem Mai Berezowskiej, nie wchodziła do naszego pokoju, Jadzia Szałań zaczęła czytać głośno: "Litwo, Ojczyzno moja, Ty jesteś jak zdrowie..." - słuchałyśmy jak urzeczone, kłując twardą słomę ostrą igłą, nie czując, że palce bolą i że czasem kropla krwi pociekła z drżącej ręki. Zapominałyśmy przez chwilę gdzie jesteśmy, poddając się czarowi słów, zawsze żywych, które przenosiły nas w inne życie.

Skrzypnęły drzwi. Jakaś szara głowa wsunęła się przez szparę. "Binder!" - Czar prysł. - "Pan Tadeusz" gdzieś niknie, głowy pochylają się niżej nad butkami ze słomy o barwnych, kolorowych podszewkach w kwiatki i plamki; niejednej plamki przybyło na barwnej podszewce, mokrej plamki ze łzy, nie w porę otartej.

## Wspomnienia z bunkra

20 lipca 1943 roku. Pięknie słoneczny dzień. Nawet więźniarkom obozu koncentracyjnego słoneczna pogoda dodawała otuchy i sił. Bardzo liczne spośród nas miały prorocze sny i umiały je sobie zdecydowanie tłumaczyć. Niektóre sny były absolutnie prorocze, np. że przyjdzie z domu paczka żywnościowa.

Tej nocy miałam zły sen. Wiedziałam, że spotka mnie nowe, dodatkowe obozowe przejście. Byłam już zahartowaną więźniarką; miałam za sobą 5 miesięcy więzienia i przesłuchania gestapo oraz blisko dwa lata obozu koncentracyjnego. Wiedziałam, że mam wyrok gestapo „RU”, czyli: powrót niepożądany.

Od roku pracowałam w „rewirze”. Zdawałam sobie sprawę, że mogę być szczególnie obserwowaną, bo jestem fachowym świadkiem zbrodniczych doświadczeń, wykonywanych właśnie od roku na mych współtowarzyszkach. Nie wiedziałam tylko, że już „wpadłam”, że mój „lewy”, próbny list dostał się w ręce władz obozowych.

Jako pracownica rewirowa nosiłam czystą suknię i buty na nogach oraz żółtą opaskę na ramieniu, która pozwalała poruszać się po obozie. Więźniarki obozowe były brudne, bosymi, poranionymi stopami chodziły po żwirze, którym był obóz wysypany, mogły chodzić tylko piątkami prowadzone. Na sukni miałam jeszcze biały fartuch, bo właśnie kończyłam pracę godzin rewirowych, gdy weszła - w południe - „Aufseherin”, krzyknęła na mnie: „kommt mit!” i poprowadziła mnie do

„bunkra”. Bunkier to karcer w obozie, groza równa przesłuchaniu w biurze politycznym. (...)

Zabrano mi biały fartuch, opaskę żółtą, bieliznę i buty. Zostałam bosa, tylko w sukni lagrowej. Wepchnięto mnie do ciemnicy w dolnej kondygnacji bunkra. Znalazłam się w celi śmierci. Znałam te cele. Wynosiłam z nich zwłoki współtowarzyszek, gdy potworna, okrutna, a piękna Oberaufseherin Mandel stosowała karę głodowej śmierci. (...) Piwniczne zimno celi, ceglana podłoga, absolutna ciemność. Wiedziałam, że w górze jest małe, zakratowane okno, ale od zewnątrz zasunięte żelazną klapą; nie przepuszczało ono ani promyka światła. Cella 5 kroków długa, 4 kroki szeroka. (...)

Ciemność celi poczęłam badać rękami. Na prawo od drzwi znajdowała się muszla klozetowa, splukiwana wodą. Dalej stolik przypięty do ściany. Obok zydel umocowany w podłodze, nie przesuwalny. Naprzeciw tej ściany również przypięta do ściany prycza nie z desek, tylko z prętów. Na lewo od drzwi wodociąg. (...)

Zaczęłam chodzić po celi 5 kroków wzdłuż lub w kółko, stawać oparta o ścianę i próbowałam myśleć. Za co mnie zamknięto, co mnie czeka, kiedy i jak zaczną mnie przesłuchiwać, na co się przygotować. Zaczęłam odczuwać zimno. Bosa, tylko w letniej sukience, bez bielizny. Piwniczna cella murowanego bunkra z ceglana podłoga. Wyjąca syrena, ten przeklęty i nieodłączny charkot piekła obozowego, zawyła na apel wieczorny, wdarła się w ciemność celi i przywróciła czas. Tak, dzień będę rozpoczynać po jej wyciu. Godzina 4 rano, 12 w południe i 7 wieczór.

Jest siódma wieczór, pewno otworzy się okienko w drzwiach i dadzą mi porcję brunatnej lury, zwanej kawą. Może będzie gorąca, może dadzą mi moją porcję chleba, jestem przecież głodna, od śniadania nic nie jadłam. Czekam, wsłuchuję się w przebieg apelu.



Muszę nauczyć się słuchem i dotykiem zastąpić wzrok. Łąpie czujnie wszystkie odgłosy, apel skończył się, udręczone biegną do bloków. (...)

Nikt nie zajrzał do celi, nikt nie podał kawy, ciemność nabrzmiała ciszą, zimno wilgocią. Ceglana podłoga do spania, pierwsza noc przede mną. Jest jednak woda w kranie, co za szczęście! Można się napić, można się umyć, mam nawet chusteczkę do nosa w rękę, uświadomiłam sobie. (...)

Drugi dzień pobytu w bunkrze spędziłam na oczekiwaniu w napięciu, bicie? przesłuchanie? dostanę jedzenie? Nic z tego, kroki w korytarzu bunkra mijają drzwi mojej celi, minął dzień. Minęło napięcie, chociaż w nocy też mogli przesłuchiwać i zaczęłam odczuwać głód. Piłam wodę. Umyłam się i tak wzmocniona przed nocą, skuliłam się pod ścianą do snu. Sen przerywany przysiadami dla rozgrzania się. Znalazłam sposób obliczania godzin nocy po stopniu wysychania chusteczki. Ta chusteczka okazała się bardzo cenna.

Nadszedł dzień trzeci dzień, który nic nie zmienił mego losu. Nasiliło się tylko uczucie głodu i zimna. Zaczął mnie ogarniać niepokój. Krążyłam w ciemności celi, poznając rękami chropowatość ścian. Usiłowałam paznokciami wyźłobić kreski dni, aby się nie zgubić w ich liczbie, ale gubiłam w ciemności miejsca zaznaczone. Przeżyłam silny wstrząs, gdy w sąsiedniej celi przez grubość ścian docierały okropne wrzaski i jęki. Teraz kolej na mnie! Skurczyłam się w sobie. Kroki minęły moje drzwi. Ulga. Myśl: jak mi nie dadzą jutro jeść, bo w bunkrze przeważnie dawali co czwarty dzień jeść, to zapewne skazana jestem na śmierć głodową. Tylko za co? Czy za to, że wiem o zbrodniczych doświadczeniach, czy że jestem z wyroku gestapo, czy może „wpadł” mój list. Tak, to musi być list. (...)

Miałam tylko wodę z kranu. Nerki funkcjonowały, przewód pokarmowy opróżniał się, co mnie dziwiło, że jeszcze ciągle znajdowała

się treść, brzuch się zapadał, w żołądku głodowe ssanie. Głowę ścisnęła obręcz, oczy zamykałam i miałam uczucie czerwonego światła. Myśli wirowały: jak się umiera z głodu? Kiedy i czy będą mnie przesłuchiwać, co powiem. I znowu woda i mycie i noc psa na podłodze, syrena o czwartej i piąty dzień.

W ten dzień zaglądano do mnie przez okienko w drzwiach, padał promień światła, wywołując w oczach ból. Coraz mniej miałam sił rozgrzewać się przysiadami.

Szóstego dnia głodu, zimna, ciemności i samotności, zaczęłam mieć zwidywania. Jadłam te góry cukrowe, a głód jakby się zmniejszył. Pojawiały się na ścianie wirujące kręgi świetlne i znowu wracały góry cukrowe. Trwałam w tym grobie ciemności i oczekiwaniu śmierci i dnia następnego - dnia ósmego. W te dni częściej zaglądano przez okienko w drzwiach. Słyszałam zbliżające się kroki, podnosiłam się do pozycji stojącej i znowu opadałam oparta o ścianę. Piłam wodę, widziałam góry cukru kryształowe, słałam. Musiałam mieć godziny zamroczeń, bo czas biegł jakby szybciej i na dźwięk syreny myślałam: przecież dopiero była syrena i znów syrena? Zacierały się odgłosy lagru tak dobrze już w ciemności poznane, małały cierpienia głodowe, jakbym już nie potrzebowała jeść. Malało całe ciało, czułam jego lekkość.

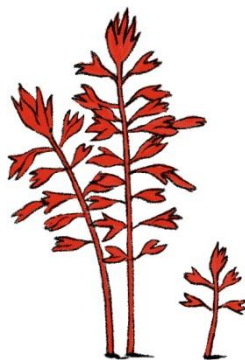
Tak nadszedł dziewiąty dzień. Został mnie siedzącą na podłodze, opartą o ścianę, nie mogłam już chodzić po celi, chociaż taki był nakaz, nie wiem, co myślałam i czy cierpiałam. (...) Przyszła syrena południa, potem syrena wieczoru, minął apel wieczorny i otworzyły się po raz pierwszy od dziewięciu dni drzwi celi. Weszła dozorczyńni. Krzyk: „wychodzić!” Szłam za nią siłą rozkazu, znalazłam się na placu apelowym w ciepłe dnia lipcowego, w świetle przedwieczoru i upadłam straciwszy przytomność.



# Na trzy

Na trzy  
Rozdzielamy każdą kromkę chleba,  
Każdą łzę  
I wszystkie sny –  
Nie dlatego, że trzeba,  
Lecz tak każda z nas właśnie chce.  
W czas burz  
Przyjaźń nasza jest dachem nad głową:  
W znojne dni,  
Gdy duch mdły już,  
Jest siłą motorową  
Pod wiatr równamy krok we trzy.

Maria Rutkowska  
Ravensbrück - wiosna 1943



## Galery

W bladym świetle szarzeje pochód. Zbrojni w karabiny maszynowe SS-mani, silne dozorcynie, groźny pies. Środkiem cienie. Z pochylonymi głowami, dźwigając ciężkie, za wielkie buciska, ciągną za sobą duszne, nieprzespane godziny, ponure majączenia, kwaśny niesmak głodu. Pędzone pięścią i krzykiem dozorczyń: "Weiter, alte Schweine, Mistvieh, Polenweiber verfluchte!...", zaganiane do nienawistnych rzędów kolbami strażników, potrącane przez błędne towarzyszki, ślą tajne, poranne westchnienia do odległych bliskich.

Wściekłe szczekanie czarnego wilczura rozprasza z trudem skupiające się myśli. Strach, nieodłączna zhora boleśnie bijących serc, przygniata piersi i wsacza do mózgu wiecznie to samo, głupie pytanie: jaki znajdą dziś pretekst do szykany? Do czego się przyczepią? I groźne widmo wieczornej kary to jawi się, to niknie na przemian. Kroki płacząc się, ramiona wtulają.

Czoło pochodu staje przed zamkniętym przejazdem. Powoli nadjeżdża widmowy pociąg, zaspany i mroczny. Dym lokomotywy owiewa stępiełe twarze. Czerwona latarka oświetla nieskończone linie toru, ze wschodu nieśmiało wybijają się pierwsze blaski jutrzeńki. "Aurora" - szepce ze słabym uśmiechem jeden z cieni. Kobiety prostują plecy, niektóre dźwigają z wysiłkiem głowę i unoszą opadające powieki. Tory trzeba przejść jak najszybciej. Nierówny, chwiejny bieg tysięcy słabych nóg. Ciemno w oczach, ciemno pod stopami. Oddech, łapany z trudem, wpuszcza do płuc wilgotne, zimne powietrze. Zachrypli krzyk

dozorczynie, stojącej na torze: "Los, aber Tempo, aber da-lej, da-lej!" - Przekleństwo, zduszone resztką woli: "Ażebyś razem z tym twoim psem..." i wyuczonym rytmem tresowanego zwierzęcia przez tor, byle przedzej, byle zostawić za sobą głos pogromczynie.

Pierwsze szeregi wchodzą teraz z chlupotem w czarną kałużę, następne, oglądając się lękliwie, usiłują ominąć błoto. Dobrnać suchą stopą do pracy! Ale już pięść dozorczyń wpycha złośliwie rozproszone cienie do grząskiej koleiny. "Saubande! Was ist denn da wieder? Reih halten!" Usłużny brzuchacz toczy się z karabinem, wydaje wrogi pomruki ze sprzedajnej gęby. Piątki równają, chluszczą woda spod posłusznych nóg. Przepelnione buciska ciężą w dwójnasób.

Park fabryczny stoi jeszcze nagi w chłodzie przedwiośnia. Kilka wczesnych pączków... "Będzie ciepło, jasno, zielono, patrz..." Towarzyszka usiłuje wydobyć uśmiech z zastygłej maski. "Tak, druga wiosna w fabryce, czwarta w niewoli..." Zamknięte tajemniczo wagony towarowe, budki policji, dwie bramy. Cienie stają się wyraźniejsze. Chustki, szare twarze, pasiaki, szare wałki pończoch. Bryły błota na butach. Chwiejny wąż postaci sunie nieskończenie. Czernieją peleryny dozorczyń-nietoperzy. Przepisowy zakręt i ostatnia brama chciwie wchłania szeregi. "Znowu, znowu!" szepczą usta coraz gwałtowniej. Bunt ustawicznie hamowany, podchodzi do gardła, dusi serce.

Hańbiąca praca, amunicja, zielony proch, zimne kule. Ręce zbrodniarki, ciało przesiąknięte wonią metalu. - Idź, niewolnico, dźwigaj skrzynie, wal młotem, nabijaj pociski, wypatruj skazy zmęczonymi oczami. Dla ich zwycięstwa, przeciw swoim braciom. Cicha, zręczna, szybka, zawsze niezawodna - pracuj, polska niewolnico. - Obłądnie kłębią się myśli, zanim wprzęgną się w tępy, codzienny, dwunastogodzinny, monotonny, odwieczny chyba i chyba na wieki przeznaczony kierat udręki. Czy przebrnę ten dzień jeszcze?

Nie chcę więcej, nie mogę, wstydę się mojej bierności. Nienawidzę siebie - przez was, przez gwałt, jaki mi zadajecie.

Drogami parku rozchodzą się cicho grupy, buntownicze błyski oczu gasną, dźwięk syreny przecina powietrze i w zamglonym poranku otwiera nowy dzień pracy.



## Króliki doświadczalne

Są właśnie któreś tam moje urodziny i w domu pewno myślą o mnie. Siedzę na swoim "wyrku" na trzeciaku i krają cztery zimne ziemniaki na sałatkę, zdobyłam cebulę, będzie więc zupełnie dobra sałatka.

W wielkiej sypialni robi się nagle cicho. Blokowa Marzenka zdenerwowanym głosem wywołuje dziesięć nazwisk. Moje też. Zeskakuję z trzeciaka. Co to? Wczoraj szeptano coś o sali operacyjnej w przygotowanym pokoju w rewirze. Pewnie rzeźnicy przyjeżdżają. Co robimy? Nie idziemy, nie idziemy za nic. Wracam na łóżko. Zimne ziemniaki przestały być interesujące. Kto wie co się zdarzy. Parę słów do domu, napisanych po polsku, choć taki list nie dojdzie, choć pewnie zginie wśród gratów przyjaciółki, jakoś łżej, że napisało się te parę słów, które nie są w stanie wyrazić ani twej tęsknoty ani bólu, a mówią tylko, że kochasz, że chcesz zobaczyć.

Znowu robi się cicho i tym razem szef policji obozowej, wszechwładna "Turi", zaprasza nas do rewiru (szpital obozowy) na badanie. Odmawiamy znowu. Atmosfera zdenerwowania w bloku.

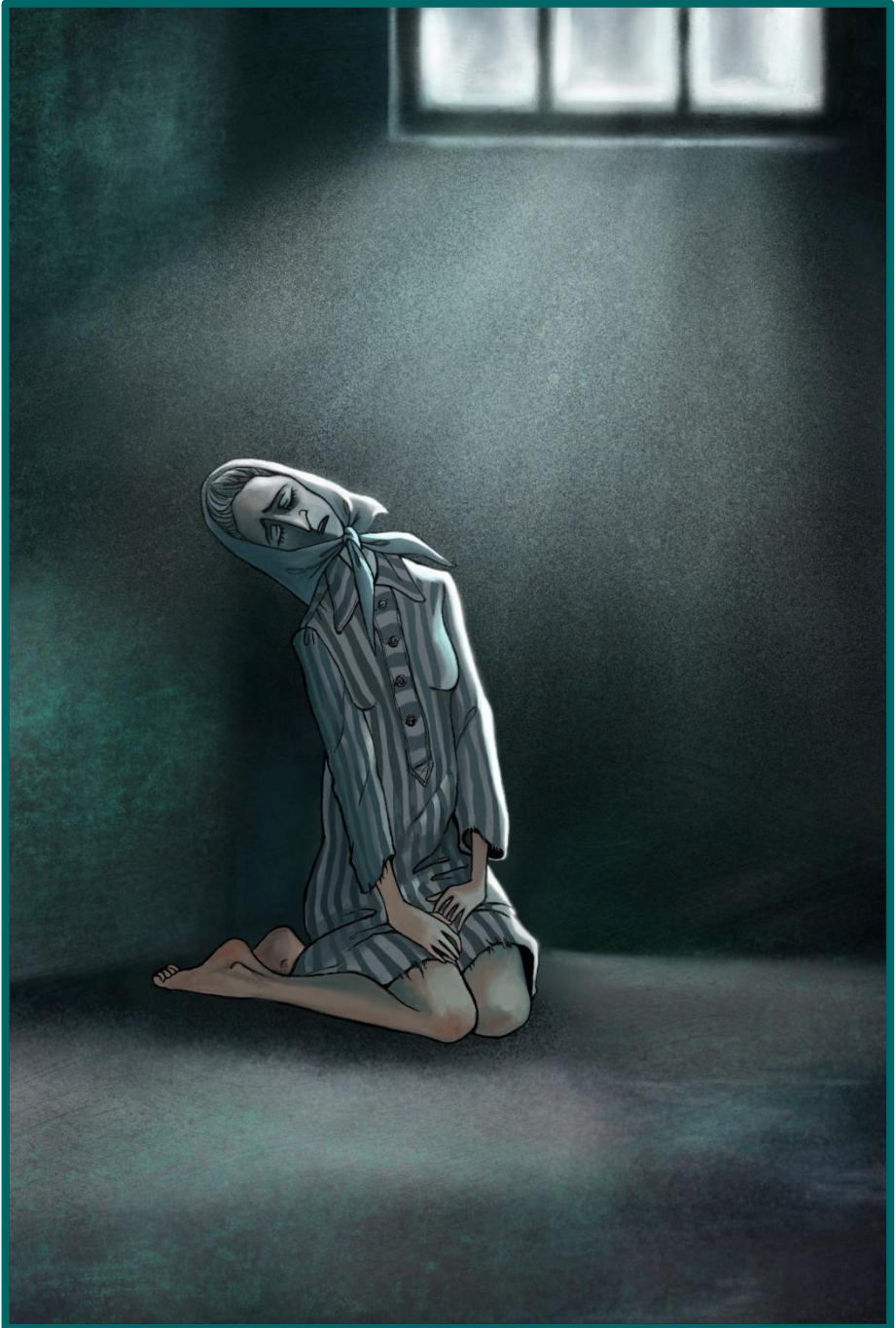
Kiedy w skrawku okna widocznym z mego łóżka, mignęła złota głowa Oberaufseherin Binz, wiedziałam już, że zaczyna się "na całego". Więc wrzask "alles raus" i gromada dozorczyń spędza wszystkie kobiety z łóżek. Ustawiać się dziesiątkami przed blokiem. Teraz wyłuskuje naszą dziesiątkę, przecie mamy na ramionach numery. "Dlaczego nie stawiamy się na wezwanie?"

"Nie damy się operować!" - "Kto mówi o operacji?"  
"To transport do fabryki, słowo honoru, transport".

"To kłamstwo! Pracujemy w pracowniach, takich do fabryk się nie wysyła". Binz "prosi" nas do kancelarii, tam nam "pan zastępca komendanta" wszystko wyjaśni. Nasze towarzyszki stoją dziesiątkami. Widzę zaciśnięte pięści, skamieniałe w buncie twarze. Idziemy. Do kancelarii nie wejdzimy, czekamy na zewnątrz. Binz znika w budynku, za chwilę widzimy ją, jak śpiesznie idzie do kantyny SS. Stamtąd po paru minutach wybiegają SS-mani zapinając pasy z rewolwerami. Kucharki z kantyny dają nam znać, że zwołano wszystkich SS-manów.

Nie czekamy dłużej. W tył zwrot, trepy w rękę i w nogi. Biegniemy przez pusty obóz i dopadamy do swoich. Kryją nas między sobą. Gwałtownie łapiemy ustami powietrze. Czekamy znowu. We wszystkich oknach podniecone twarze. W obozie cisza, ale cisza naładowana grozą i oczekiwaniem. Mija w tej ciszy czas. Nie wiem minuty czy kwadrans... Znowu Binz błada z gniewu, znowu policja. Binz krzyczy coś o bezczelności, o karze za ucieczkę, o bunkrze. I znowu wyluskują nas po jednej, znają już nasze twarze. Wyciągają z szeregów, towarzyszki nasze głośno protestują, nas ciągną siłą. Za karę, że uciekłyśmy zamkną nas w więzieniu. Cały blok stoi do wieczora i jest ukarany za bunt trzydniowym aresztem z pozbawieniem światła i jedzenia. Więzienie... to dobrze, byle nie szpital.

W bunkrze dozorczyńni zapisuje kolejno nasze nazwiska i daty urodzenia. "Ach twoje urodziny" - mówi - "tak piękne urodziny". Ciemnica. Po 5 w małej celce. Trzeba siedzieć na podłodze. Cicho omawiamy wypadki i co będzie? Badanie? Bicie? Mija powoli noc i dzień (ruch za drzwiami), nie dają jeść. To dobrze, jeżeli nie dają jeść, to kara. Nagle w celi zabłysnęło światło zapalone z zewnątrz. Światło oślepia nas, po chwili widzimy tą samą dozorczyńnię stojącą w drzwiach. Wodzi po nas oczyma, jakby szukała kogoś.



Spojrzała na mnie, odwróciła głowę i skinęła na Helę siedzącą po przeciwnej stronie.

Co to jest? Gdzie zabrano Helę? Siedzimy znowu w ciszy i ciemności. Czas mija, nie wiem godziny, czy minuty... Znowu światło, Hela nie wróciła, a zabrano następną, najdalej ode mnie siedzącą. W powietrzu został zapach. Co to jest? To eter, na pewno eter. A więc nie badanie, nie bicie, ale operacja. Po kolei biorą nas na operację. Pół roku spokoju było po lutowym proteście i zaczyna się na nowo. Sześćdziesiąt kalek siedzi w bloku, jeszcze mało?

Kiedy zostałyśmy w celi już już tylko, wstałam powoli i zmieniałam miejsce, usiadłam po tej stronie skąd dozorczyńni brała. Gdy zabłysło światło wstałam sama i wyszłam na korytarz. Boso, nogi brudne od węglowego pyłu ulic obozowych, suknia brudna od pracy w warsztacie. Na korytarzu lekarz obozowy z Hohenlychen i "ci". Oglądają moje nogi. Nie umiem po niemiecku. Więc mówię głośno po polsku, wywołuję uśmiechy ironiczne na twarzach SS-manów. Mówię o prawach ludzkich, o tym, że jestem więźniem politycznym, że protestuję przeciwko dokonywaniu na mnie jakiegokolwiek operacji. Doktor obozowy (Klimek, Czech) spuszcza głowę i mówi łamaną polszczyzną: "stoi tam pięciu SS-manów, niech pani nie robi głupstw". Prowadzą mnie długim korytarzem, jedne, drugie drzwi. Widzę krzątające się siostry i lekarzy. Klimek zbliża się do mnie ze szprycą. Uklucie. Mówię: "Mam takie brudne nogi". "Nic nie szkodzi", odpowiada mi po niemiecku jakiś głos. Zaczyna do mózgu wpływać ciepła struga, mąci myśli, zwija się i rozwija, czuję dziwny spokój i zapadam się w głęb. Jeśli taka jest śmierć, to nie jest straszna.



## Taczki

Jest nad pięknym jeziorem długa smutna droga,  
Nie wiem, kędy się kończy, ni gdzie się zaczyna,  
Niebo co dnia nad drogą swą krasę rozpina,  
Dar okrutnie wspaniały okrutnego Boga,

Drogą idą kobiety wprzęgnięte do taczek,  
Jak kulisi, schylone, złamane wysiłkiem,  
Idą w wiecznym zdumieniu - jakby przez pomyłkę  
Pchnięto je na tę drogę, miast wieść je inaczej,

Nad drogą kwitną kwiaty lub śnieg skrzy się w słońcu,  
Przez szyby cudzych okien widać życie cudze,  
Śnieg wciąż biały, kwiat wonny... ludźmi drudzy ludzie,  
A one tak zmienione przez rękę karzącą.

Jasne, czyste ich ciała nosiły ciężary,  
Które krwią swą żywiły w łon swoich ukryciu.  
Dzisiaj, że kiedyś dały narodzić się życiu -  
Pchać muszą ciężkie taczki, symbol dziwnej kary.

Maria Rutkowska  
Ravensbrück - jesień 1942

## Nocna zmiana w kuchni obozowej

Nocna zmiana w liczbie 70 kobiet pracuje w kuchni już od godziny siódmej wieczór. Są to przeważnie Polki z drużynową Zosią na czele. Przy zaciemnionych oknach, słabym światłem elektrycznym migają białe czepki i chusteczki pracownic, o kamienną posadzkę stukają drewniane trepy. Jedna z robotnic szoruje ogromne kotły, inne noszą jarzyny i kartofle, inne jeszcze dokładnie obierają z kości mięso końskie i przepuszczają przez wielką maszynę. Obrane nagie kości rzucają do dużej wanny stojącej pośrodku kuchni. Mięso pójdzie do kuchni SS.

Z syczących kotłów unosi się para, są chwile, że pomimo światła nic dojrzeć nie można.

Do kuchni obozowej przylega kuchnia dla "urzędniczek" i dla esesmanów, tzw. personalka. Tej nocy w personalce dyżuruje gestapówka Bolz, istny szatan w germańskim ciele. Od czasu do czasu wpada tu jak furia, węszy, biega od jednej kucharki do drugiej, podgląda, wypatruje, czy która z nich nie wyjęła z kotła kartofla.

W tej chwili panuje cisza, tylko kotły syczą coraz głośniejsze. Jest godzina druga w nocy. Zosia nawołuje do pośpiechu. Naraz rozlega się chrypliwy krzyk, a następnie stukot garnka. Gestapówka Bolz wypadła z personalki i zastała nieszczęsną Polkę na picu mleka. Garnek z mlekiem wyleciał w powietrze, gestapówka chwyciła biedną dziewczynę za włosy i, tarzając po ziemi, kopie i bije.

Kolumny przyszły po kawę, obóz zaczyna się budzić, kominy krematoryjne dymią coraz słabiej, jęki w bunkrze przycichły.

Nocna zmiana pracuje dalej.



## *Aby świat się dowiedział...*

Swoje wspomnienia z Ravensbrück chcę poświęcić jednemu wycinkowi życia obozowego - tajnej korespondencji z rodzinami w kraju, którą mimo surowego reżimu udało się nam nawiązać i kontynuować ponad rok.

Nasz kontakt listowy z rodzinami był ograniczony przepisami, które przewidywały pisywanie listów z obozu oraz otrzymywanie wiadomości od bliskich jeden raz w miesiącu.

Oficjalny blankiet listowy wielkości kartki z zeszytu nie dawał wiele miejsca na korespondencję. Pierwsza strona do połowy była zmarnowana nadrukiem zawierającym wyciąg z przepisów dotyczących wymiany listów. Tutaj też wypisywało się adres nadawcy. Pozostałą część kartki, podzieloną dwudziestoma linijkami, można było wypełnić treścią - oczywiście w języku niemieckim, "przejrzyste i czytelnie", jak głosił przepis. Poza stereotypowym zdaniem "ich bin gesund und fühle mich wohl", informacją, że otrzymało się ostatni list od rodziny oraz pytaniami o zdrowie bliskich, naprawdę trudno było wymyślić coś, co przekazałoby tym w kraju jakieś konkretne wiadomości o nas, a równocześnie nie narażało listu na zniszczenie przez cenzurę obozową. Toteż przez długi czas rodziny nie miały bezpośrednich i wiarygodnych informacji o naszym życiu w obozie. (...)

Nas jednak dotknęło coś, czego przedtem nie przewidziała niczyja wyobraźnia: doświadczalne operacje na zdrowych kobietach wbrew ich woli. Wskutek operacji kilka z naszego grona umarło, wiele zostało kalekami, zaś u wszystkich, bez względu na stopień zniszczenia

zdrowia, operacje pozostawiły niezatarte ślady w psychice. Uważaliśmy, że o tak haniebnych czynach lekarzy niemieckich musi dowiedzieć się świat. Równocześnie zdawałyśmy sobie sprawę, że trzeba dać informacje pełne i ściśle. Liczyłyśmy się zupełnie realnie z ewentualnością zgładzenia nas jako żywych dowodów, toteż przekazanie wiadomości stawało się sprawą tym ważniejszą. Miałyśmy także nadzieję, że wyjawienie światu prawdy o operacjach może zaważyć na decyzji, od której pewnego dnia zawisnie życie wszystkich operowanych.

Zdecydowałyśmy, że napiszemy informacje tzw. pismem sympatycznych, niewidzialnym dla oka, między linijkami oficjalnego listu. Wpadła na ten pomysł Nina (Janina) Iwańska. W początkowej fazie akcji pisanie tajnych listów wtajemniczone były cztery osoby: Janina Iwańska, jej siostra Krystyna, Wanda Wojtasik (obecnie Półtawska) i ja. Rodziny wszystkich mieszkały w Lublinie, co w dalszej tajnej korespondencji miało duże znaczenie.

Ponieważ nie miałyśmy do dyspozycji żadnego z powszechnie używanych płynów służących jako atrament sympatyczny, zastosowałyśmy do tego celu własny moc. Okazał się praktyczniejszy od mleka czy soku z cebuli lub cytryny, bo nie zostawiał zupełnie śladu na papierze. (...)

Treść naszego listu niemieckiego była tak skomponowała, że pierwsze litery każdej linijki dawały dwa słowa: "list moczem". Treść napisana między wierszami była krótka. Zaczynała się od słów: "Zdecydowałyśmy napisać Wam całą prawdę". Potem następowało kilka zdań informujących o operacjach. Na zakończenie zapowiedź następnych listów i umowa, jakie słowa w liście od rodziny będą znakiem, że list odczytali. Ten list o potrójnej treści został wysłany w styczniu 1943 roku do mojej rodziny. (...)

Jedynym miejscem, gdzie z dala od niepożądanych oczu i we względnym spokoju mogłyśmy pisać tajne listy, był strych na bloku.

Sam pobyt na strychu był zresztą również rzeczą niedozwoloną. W sypialni nad trzecim piętrem łóżek w wiadomych miejscach zrobiono wejścia na strych odrywając po kilka desek w suficie.

Po otrzymaniu znaku od rodziny, że pierwszy tajny list został odczytany, niebezpieczna gra pochłonęła nas całkowicie. Zaczęłyśmy pracować nad udoskonaleniem i rozszerzeniem korespondencji.

Przede wszystkim zerwałyśmy z pisanem między wierszami. Wykorzystywałyśmy natomiast wnętrze koperty obozowej. W ten sposób zyskiwałyśmy miejsce, bo na pustym papierze można było zagęścić wiersze. Niewątpliwie był to także system bezpieczniejszy. Każdą kopertę w pierwszym okresie korespondencji opatrywałyśmy kolejnym numerem, żeby rodziny w Polsce łatwiej mogły kontrolować, czy otrzymują wszystkie pisane przez nas listy.

Wysyłanie listów z ukrytą treścią trwało półtora roku - do czerwca 1944 roku. Zostało przerwane, gdy wszelka korespondencja z krajem urwała się wskutek przesunięcia frontu wschodniego na nasze ziemie.



## Kwiaty

Odgłosy bloku dochodziły do mnie przytłumione, jak zza grubej ściany. Przed oczami wirowała natrętnie błotnista szarość jeziora, brudny śnieg i chmurne niebo. Ogarnął mnie przejmujący smutek. Szarość zalewała mnie i nie mogłam się z niej wydobyć. Przyszło mi na myśl, że nawet śmierć nie wyzwoli mnie z błota Ravensbrück. Wchłonie mnie na zawsze, rozpraszając bezimienne popioły za drutami obozu. Nigdy nie wyjdę z tego strasznego miejsca. Będę po wieki przykuta do niego śmiercią, pozbawiona grobu, zieleni i słońca... Bałam się tej pozagrobowej niewoli więcej niż śmierci samej. Gdyby uciec choć w chwili agonii... Zaczepnąć zieleni drzew i niebieskości nieba, jak czerpie się powietrze przed zanurzeniem w głębinę...

Szukałam wzrokiem punktu oparcia, ale wszędzie było szaro i brudno. Zaczęłam więc cofać się pamięcią, wracając we wspomnieniach krok za krokiem, usiłując przejść jeszcze raz życie od początku. Ale wspomnienia były już mgliste i bure, niczym starzyzna przysypana warstwą kurzu. Aż natrafiłam na kwiaty. Były czerwone, żółte i niebieskie. Były śnieżnobiałe rumianki ze złocistymi środkami i narcyzy niemal przezrocyste, świeże i sztywne. Znalazłam kaczeńce nad niebieskozielonym stawem, stokrotki w soczystej trawie, różnokolorowe róże i tulipany na klombach ogrodów. W koszykach stały hiacynty różowe i lila. W wazonach rozkwitały smukłe kielichy mieczyków. Płonęły astry. Kwitły delikatne dzwoneczki wrzosów na polach szerokich, jak tylko sięgnąć wzrokiem... Kwiaty, czyste, barwne, pachnące. Wyobraziłam je sobie i już nie mogłam się od nich oderwać.

Były uosobieniem wszystkiego, czego pragnęłam. Były samym życiem... Leżałam, myśląc o kwiatach. Przeżywałam wyobrażenie każdego z ich kształtów, barw i woni. Z drobiazgową dokładnością usiłowałam odtworzyć najmniejszy szczegół. Marzyłam... Marzenie stało się obsesją. Niczego nigdy nie pragnęłam tak silnie jak teraz widoku kwiatu. Pragnęłam tylko tego... Chwilami ogarniała mnie dławiąca rozpacz, że mogę umrzeć, zanim pragnienie się spełni. Wzdrygałam się przed tą myślą. Nie, tak się przecież stać nie może. Byłaby to krzywda zbyt wielka. Ale niepokój rósł, przemieniał się w gorączkowy pośpiech. Prędejj. Prędejj. Bo niedługo może być za późno. Prędejj! Do czego?

Opadałam na barłóg zgnębiona bezsilnością, zżerana pragnieniem i lękiem... Wracaly kwiaty. Wracało marzenie...

Tak minął wieczór i noc. Na poranny apel sprowadziła mnie Lena bierną i bezwolną. Zdobywałam się na potworny wysiłek stania i poruszania, wiedząc, że muszę, choć nie uświadamiałam sobie przyczyny. Obok groźnej rzeczywistości obozu trwała we mnie druga - kwiaty. Oddalały się i przybliżały. Czekały gdzieś daleko, w tyle, za światem otaczającym. Ale były... Spieszyłam, by do nich wrócić, by pogрузić się w nich zupełnie, uwolniona od czucia i myśli... (...)

- Co ci jest? - pytała Lena niespokojnym szeptem.

- Nie mogę już dłużej... Chcę odpocząć - wydusiłam wreszcie z siebie odpowiedź. Mówiąc "odpocząć" - pomyślałam: "umrzeć". I wydało mi się, iż ta moja aprobata śmierci jest jakimś przypieczętowaniem losu. Wraz z wypowiedzianymi głośno słowami coś dokonało się ostatecznie, życie zostało w tyle, nieodwołalnie przekreślone. Ogarnęła mnie bezwładna rozpacz. Więc już nigdy więcej...

- Pójdziemy na rewir - powiedziała Lena.

Była to najdłuższa droga, jaką przebyłam w życiu. Lena podtrzymała mnie wprawdzie za ramiona, ale i tak musiałam



poruszać się sama, a każde posunięcie ciężkich i dalekich nóg wymagało nadludzkiego wysiłku. Nieskończoną ilość razy upadałam na ziemię, pragnąc przy niej pozostać. I nieskończoną ilość razy podnosiły mnie czyjeś ręce, a głos Leny - gdzieś wysoko nade mną - mówił:

- Wstań!... Bo zgubimy kolumnę...

Oglądałam baraki z góry, z dołu i z boku, a wszystko było niezwykle ostre w konturach i rażące. Zanurzałam się w wilgotnym powietrzu jak w lodowatej wodzie. Oblepiało mi ciało i chwilami miałam wrażenie, iż naprawdę przedzieram się przez wodę brudną i zimną, tamującą mi oddech i pętającą nogi. Potem wracała przenikliwa świadomość rzeczywistości, a wraz z nią niepokój.

Obszukiwałam wzrokiem drogę wypełnioną zszarzałym śniegiem. Szukałam na niej śladu życia: gałązki drzewa pokrytej pąkami, zieleniącego źdźbła trawy. Wróciło ze zdwojoną siłą pragnienie zobaczenia po raz ostatni kwiatów. Było we mnie jakimś rozpaczliwym krzykiem. Czekałam na spełnienie owego ostatniego życzenia jak na załatwienie najważniejszej w życiu sprawy, bez którego nie mogłabym odejść w spokoju.

Bezskutecznie błądziłam wzrokiem. Wszędzie napotykałam tylko brudną szarość topniejącego śniegu i smugi błota. I wraz z poczuciem daremności oczekiwania ogarniał mnie coraz większy niepokój. Zachłystywałam się żalem głębokim i bezsilnym.

- Chodź!... Chodź! - mówiła Lena. Wlokłam się bez sensu i celu, których świadomość utraciłam w czasie tej nie kończącej się drogi. Szłam, bo iść musiałam z przyczyn niezrozumiałych. Tak dotarłam do ogrodzenia rewirowego i przekroczyłam próg baraku. Lena została za drzwiami. Opadłam na brudną podłogę, opierając się plecami o ścianę.

- Chodź!

Tam razem powiedziała to rewirowa siostra, która zjawiła się przede mną po chwili czy też po długich godzinach. Dźwignęłam się.

"Będą mnie badać - pomyślałam nagle. - Co się stanie, gdy mnie nie przyjmą?"

Myśl o powrocie do bloku i powtórzeniu całej wędrówki przejęła mnie lękiem. Nie! Powrót był niemożliwy!...

Przekroczyłam próg jakiegoś pomieszczenia. Na stoliku stała butelka z wodą, a w niej rozkwitająca gałązka wierzby. Wpatrzyłam się w tę gałązkę oszołomiona nieoczekiwanym szczęściem. Z łuski wychylały się delikatne listki, szarozielone, skulone jeszcze, wilgotne. Wydawało mi się, że czuję z daleka ich gorzkawy zapach. Orzeźwia! Świeżością. W nagłym zachwyceniu uciszyło się we mnie wszystko. Poczułam ogromny spokój. Coś załatwiłam ostatecznie.

"Teraz mogę już umrzeć" - pomyślałam z łagodnym smutkiem.



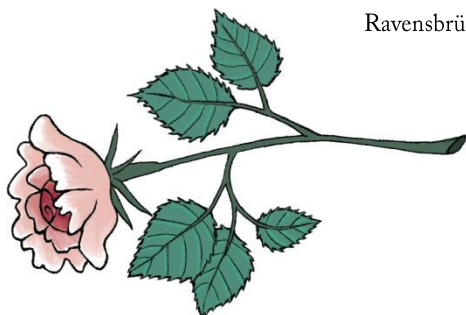
## Wiersz na uroczystość 25-lecia wyzwolenia obozu Ravensbrück

Jesteśmy z Wami,  
Może raz ostatni.  
Później spotkamy się gdzieś, w głębinach nieba.  
Zabrać więc dzisiaj stąd nas będzie trzeba  
Oprócz łez naszych tuż pod powiekami  
Wasze uśmiechy i oczu spojrzenie  
Jako ostatnie Wasze polecenie.  
By- póki życia nam starczy i siły  
Nie zginęła pamięć o Was  
I aby serca Wasze w naszych żyły.

Żegnajcie, drogie... oto Wasze cienie  
Tuż przy nas stoją, czujemy je blisko.  
Łączy nas przecież z Wami dotąd wszystko  
Co było wtedy i dziś najpiękniejsze.

Śpijcie spokojnie, a za rok lub dziesięć  
Tu lub tam w górze, znów do zobaczenia.  
Niech biel tych kwiatów, które dziś składamy  
Zostanie z Wami, żegnajcie, kochane.

Maria Rutkowska-Kurcyszowa  
Ravensbrück, 25 kwietnia 1970



## Pamięć ocalona

Ravensbrück to miejsce wyjątkowe. Dla naszej historii, przestrogi i pamięci. Dla Polaków to miejsce jest szczególnie ważne. To właśnie w północnej Brandenburgii, nad brzegiem jeziora Schwedt, znajduje się skrawek ziemi nasączony polską krwią. To miejsce dziś nas jednoczy i każe pamiętać o trudnej, mrocznej przeszłości. Poprzez naszą pamięć oddajemy dziś hołd tym, których życie minęło bezpowrotnie w więziennych murach Ravensbrück.

Przyjeżdżamy w to miejsce, najczęściej szukając odpowiedzi na pytanie: dlaczego? Czy znajdujemy ją, chodząc po czarnym żwirze, patrząc na wysoki mur, zagłębując w Szczelinę? Czy przyniesie ją szum wiatru w koronach sosen i plusk fal na jeziorze? To miejsce jest naszą narodową Pamięcią Pokoleń - nosimy ją w swoich sercach.

W publikacji zamieszczono teksty wierszy obozowych autorstwa Marii Rutkowskiej-Kurcyszowej. W obozie koncentracyjnym Ravensbrück istniała twórczość artystyczna: literacka i plastyczna. Nie tylko śmierć czy cierpienie były tematami poruszonymi w poezji obozowej. Również takie zagadnienia jak miłość, tęsknota za bliskimi, a także nadzieja na rychły powrót do domu były motywami przewodnimi literackiej twórczości zza drutów. Wiersze zostały zapisane tak, jak doniosła je pamięć więźniarek. Właśnie w takiej formie powtarzano je półszepem na twardych pryczach obozowych baraków, w czasie bezsennych nocy, niekończących się apeli lub w drodze na śmierć... Przetrwały jako dokument oraz świadectwo tamtych dni.

"Imiona zapisane na wodzie" to fragmenty wspomnień polskich kobiet, byłych więźniarek obozu Ravensbrück, które przetrwały, by dawać literackie świadectwo tamtych okrutnych dni.





© Planetar Studio 2019  
All Rights Reserved



